



JAN DZIOPEK

Dziesiąty dzień rozprawy rozprawy, 21 marca 1947 r.

Obecni jak w siódmym dniu rozprawy.

Początek posiedzenia o godz. 9.00.

Przewodniczący Eimer: Wznawiam rozprawę Najwyższego Trybunału Narodowego w sprawie przeciwko Rudolfowi Hößowi. Proszę poprosić świadków wezwanych na dzień dzisiejszy.

Prokurator Cyprian: Przed rozpoczęciem badania świadków wnoszę o powołanie świadka Zofii z Dziurzyńskich Kalmusowej, rzeźbiarki, obecnej w Warszawie, na okoliczność, że kobiety wycofywano z komór gazowych, o ile były w ciąży, pod warunkiem, że kobiety te własnoręcznie poduszają swoje dzieci po urodzeniu i że takie fakty się zdarzały. Składam adres świadka i proszę o jego powołanie.

Przewodniczący: Proszę obronę o wypowiedzenie się w sprawie tego wniosku.

Adwokat Ostaszewski: Pozostawiamy do uznania Najwyższego Trybunału Narodowego.

Przewodniczący: Trybunał postanowił dopuścić dowód z zeznań świadka Kalmusowej. Proszę świadków wezwanych na dzień dzisiejszy o podanie nazwisk.

Świadkowie: Jan Dziopek, Jan Pilecki, Adam Zacharski, Tadeusz Pietrzykowski.

[Przewodniczący:] Świadkowie opuszczają salę i zostaną wezwani w kolejności. Świadek Dziopek pozostanie. Świadek podał co do swej osoby: Jan Dziopek, profesor gimnazjalny, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, w stosunku do stron obcy. Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

Prokurator Cyprian: Zwalniamy z przysięgi.

Adwokat Umbreit: Zwalniamy.

Przewodniczący: Za zgodą stron Trybunał postanowił zwolnić świadka z przysięgi. Upominam o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Proszę świadka o opowiedzenie, w jakich okolicznościach dostał się do Oświęcimia i co może zeznać w sprawie.

Świadek Jan Dziopek: Jeżeli mam mówić o obozie oświęcimskim, należałoby mi opisać ten obóz w poszczególnych latach. Inny bowiem był obóz w roku 1940, inny w 1941, 1942, 1943, 1944 i na początku 1945 r. Należałem bowiem do tych więźniów, którzy przeszli gehennę oświęcimską od roku 1940 do 1945 r.

Na teren Gorlic, małej miejsciny podkarpackiej gestapo przybyło 20 sierpnia 1940 r. Pozamykano wszystkie wejścia w boczne ulice. Po mnie i po miejscowego księdza prałata przybyła policja i ściągnięto nas, że się tak wyrażę, na zamówienie. Nie poczuwałem się do żadnej winy, organizacji bowiem na terenie Gorlic wówczas jeszcze nie było, więc szedłem śmiało, bo wiedziałem, że nic nie mogą mi zrobić. Zostałem oddany w ręce gestapo. Po przebyciu więzień w Gorlicach, Jaśle i Tarnowie 8 października 1940 r. znalazłem się w Oświęcimiu.

Już w więzieniu tarnowskim dochodziły do nas wiadomości, że Oświęcim to piekło, z którego nikt żywy nie wyjdzie. Ja, jeden ze starszych, wyrobiony jako harcerz od dziecka – prawie od założenia harcerstwa – wierzyłem w swoją silną wolę, wierzyłem, że przetrwam to piekło i stanąłem do walki. Na placu apelowym, gdzie ustawiono nas wszystkich, przybyłych z więzienia tarnowskiego, a po drodze przyłączono do nas kolegów z Bochni, przywitał nas ówczesny *Lagerführer* Fritsch. Przemówił do nas: – Nie jesteście obywatelami, jesteście więźniami. Nie jesteście ludźmi, jesteście numerami. O wolności nie możecie nawet marzyć, na wolność żaden z was nie wyjdzie, jesteście skazani na pobyt w obozie, tak długo, jak długo będzie trwała wojna. Na zakończenie mówi nam: – Droga do wolności waszej prowadzi przez ten komin – i wskazał nam dymiący komin krematoryjny. Powiedział nam przy tym formułę niemiecką (w tłumaczeniu): – Jest tylko jedna droga do wolności, a prowadzi do niej posłuszeństwo, pilność, porządek, czystość, trzeźwość, ofiarność i miłość ojczyzny. Dla nas – Polaków – miłość ojczyzny germańskiej. Napis ten namalowano na dachu kuchennym. Musieliśmy codziennie uczyć się tego na pamięć, bo SS-man wywoływał nas i kazał powiedzieć z pamięci – jak to nazywaliśmy – *Meilensteine*. Dla mnie to było łatwe, ale co miał robić biedny człowiek, który nie znał języka niemieckiego? Musiał się uczyć nieraz miesiąc jeden, drugi, trzeci, a nawet pół roku, żeby te *Meilensteine* mógł powtórzyć z pamięci.

Odebrał nas po 50 ludzi jakiś kapo i zaprowadził do kąpieli. Spocony, obładowany tobołami, szedłem z trudem, bo jadąc do Oświęcimia myślałem, że należy zabrać wszystko, co będzie potrzeba, a więc palto, kozuch itd. Pada komenda: „Złóż to tu”. Można było zostawić

sobie buty, nawet bez skarpet i pasa. Miałem okulary, poprosiłem, żeby wolno mi było je zostawić. Odpowiedź była: – Tu nie będziesz czytać, to ci niepotrzebne. Zabrano mi i okulary. Dalej strzyżenie, ale to nie fryzjer, lecz ręka może jakiegoś górnika czy kowala kilkakrotnie pociągnęła po głowie i już jest człowiek ostrzyżony. Potem do kąpieli. Po drodze biją, kopią. Obserwuję, uważam, żeby nie dostać, robię to, co inni robią. Idę do kąpieli. Woda zimna jak lód, studzienna, względnie woda z Soły, bo tam był wodociąg. Udaję, że się kąpię, zerkam na prawo i lewo, żeby nie dostać drągiem. Wybiegam mokry na korytarz. Dostaję kalesony bez jednej nogawki, koszulę bez guzików i drelichowe ubranie, jak popadło, przy którym nie ma ani jednego guzika. Po 50 odbiera nas kapo, prowadzi na izbę. Warunki straszne – ale o tym koledzy już opowiadali. Oczywiście tego dnia nie dostaliśmy nic jeść.

Na drugi dzień apel. O godzinie 4 rano gong. Zrywamy się, nie znamy jeszcze porządku, a tu blokowy z ogromnym kijem nad nami. Bardziej opieszających, jeszcze nie ubranych pędzą i gonią niczym dzikie zwierzęta. Moją marynarkę, nie zapiętą na guziki, chwycili mi w tłumie i udarli po głowie. Rozpacz czarna, bo wiem, że to jest uważane za sabotaż, jak mi mówili. Muszę się gwałtem postarać o nową. Schodzimy na dół. Zimno, mgła, my jesteśmy bez czapek, bez swetrów, bez ciepłej bielizny, bez koszul, a tu dzień październikowy, poranek chłodny. Kulimy się, pocieszamy się jakoś i czekamy, co z nami będzie. Idziemy na apel. Apel na szczęście zgadzał się – o nim opowiem jeszcze później. Zostajemy na bloku, nie biorą nas do pracy. Na bloku zasadniczo nikomu nie wolno było zostać. Nas zostawili na placu apelowym, żeby ćwiczyć z nami „sport”. Straszny sport. Zaczynamy biegać dookoła, to przysiady, to padnij, to tarzanie się po ziemi, to powstań, to ręce do góry i z zamkniętymi oczami krążenie dookoła. Zmieniają program co chwila. Trwa to jedną, drugą. Ja nie mam już sił, serce mam w gardle, brak mi tchu, ostatnim tchnieniem „Jezu, ratuj mnie, muszę to jakoś przetrzymać”. Kilku chłopów mdleje, między innymi Gąsienica z Zakopanego. Przynoszą wiadro wody, leją na niego. Gąsienicy nie mogą ocucić, zanieśli go do szpitala. Korzystamy z tej chwili przerwy i odpoczywamy nieco. Po tym wypadku dalej „sport” do 11 w południe. Od 6.00 rano bez przerwy do 11.00. Nogi mi odmówiły posłuszeństwa, kolana popuchły. Po południu ulżyli nam jednak, bo ćwiczyliśmy tylko zdejmowanie czapek, których nie mieliśmy na głowie, a które dostaliśmy dopiero w grudniu.

Następnie idziemy znowu na blok. Zaczyna się nowa gehenna – spanie. Na siennikach stłoczeni jeden obok drugiego, mieściło się nas tyłu, ilu stanęło w rzędzie jeden obok drugiego, pierś do pleców, a następnie położyć się. Jeżeli któryś w nocy musiał wyjść do

ustępu, to już nie znalazł miejsca, musiał na korytarzu lub w ustępie nocować do rana. Jeden z kolegów klęknął i mówił modlitwę. Zobaczył to kapo zwany „Krwawy Alojzy”, skoczył do niego z bukiem i zbił go niemiłosiernie, krzycząc: – Nie ma Boga, bogiem jest Hitler, do niego możesz się modlić, ale stojąc!

Mycie. Wszak każdy musi się umyć, a Niemcy – trzeba przyznać – na zewnątrz dbali o to, żeby więzień był czysty. Przedtem go unurzali w błocie, a po 10 minutach musiał być czysty. Przychodzę – listopad, rano, każdy musiał mieć spodnie naciągnięte i buty na nogach, bo z chwilą uderzenia gongu wszyscy piorunem musieli z bloku gonić do mycia. W obozie wówczas były dwie studnie z pompą. Pod studnią kilkumetrowy ogonek, żeby dostać odrobinę wody. Niełatwo było: trzeba stać w kolejce, bo jeżeli wyszedł z kolejki, to dostał drągiem – nawet i od więźnia, więc trzeba pilnować się. Trzeba było zdobyć odrobinę wody, ochlapać się, przyjść na blok i pokazać się blokowemu, że jest się mokrym. Słabsi koledzy, którzy nie mogli czekać pod studnią, bo marzli (trzeba było przejść z bloku 20 na 21, a to była zima bardzo ostra), myli się własnym moczem, ochlapali twarz i pokazali się, że są umyć.

Izba to wzór czystości, niech Bóg broni, żeby tam był proch, żeby na ścianach coś wisało. Ale jej stan higieniczny był następujący. Izba musiała być dwa razy dziennie myta. Na czym polegało mycie? Cztery, pięć kubłów wody wylanych na podłogę i roztartych miotłą, potem zebranie tej wody najpierw łopatom, a później ścierkami. To było wymycie. Po obiedzie musiała być drugi raz umyta podłoga. Dobrze, gdy to było w lipcu, sierpniu, ale to był listopad, grudzień i izba nigdy nie wysychała, a na tej podłodze musieliśmy położyć nasze sienniki, które były ułożone w piękną kostkę w rogu sali i przykryte kocami. Te sienniki, skutkiem leżenia na stale mokrej podłodze przegniły, słomy w nich już nie było, tylko trochę wełny drzewnej tam się plątało. I na tej podłodze, na tych przegniłych siennikach, trzeba było znowu spędzić noc do 4 z rana. Dobrze jeszcze, gdy sam byłem suchy, ale pracując na polu od 8 października do 12 grudnia byłem kilkakrotnie mokry jak szczur, nie było na mnie suchej nitki i taki musiałem się kłaść.

Skutkiem tego mycia i dużej liczby ludzi zaduch był niebywały, więc mimo ostrej zimy koledzy, którzy dbali o to, żeby było czyste powietrze, otwierali okna. Skutkiem wilgoci na suficie tworzy się warstwa szronu, która potem kapie na nas jak deszcz. Z wierzchu mamy mokro i pod spodem mamy mokro.

Wieczorem, po powrocie do obozu, po zjedzeniu kolacji, szukanie wszy, a przy tym śpiew. Niemcy kazali śpiewać. Płakać nam się chciało, a nas uczono śpiewać niemieckie piosenki, które musieliśmy głośno i w takt wyśpiewywać. Jeżeli dobrze śpiewaliśmy, kazali nam się rozejść, jeżeli źle – śpiewaliśmy bez przerwy aż do gongu.

Gdy już gong zabrzmiał – kładziemy się. Boże, parę godzin odpoczynku. Ale nie zawsze. Nieraz wpadał na salę blokowy i żegnał nas słowami: *Gute Nacht*. Musieliśmy odpowiedzieć chórem: *Gute Nacht!* Ale jak można w takim zbiorowisku ludzi, na pół trupów, odpowiedzieć równo i głośno w obcym języku. Więc zaczynał się „sport”. Padnij, powstań, najrozmaitsze koziółki. Tumany kurzu z sienników. Nie mamy sił, ale musimy dalej ćwiczyć. Opieszałych, a raczej tych, którzy nie mieli już sił, wyciągają na korytarz i tam dalej z nimi ćwiczą. To było nasze spanie.

Zaraz w początkach zostałem przydzielony do wożenia szutru na taczkach. Jako jednemu z silniejszych kapo dał mi taczki żelazne o dużej pojemności, które musiały być wypełnione kamieniami lub szutrem i z tymi taczkami należało biec szybko na miejsce przeznaczenia, które było odległe o 200 – 300 metrów, tam wysypać, a z powrotem znowu biegiem. Oczywiście, człowiek był w stanie robić to najwyżej pół dnia, drugie pół dnia już go siły opuszczały. Trzeba było umieć śledzić, gdzie jest kapo, gdzie SS-man, żeby odpocząć. Nieraz wywróciłem taczki i pół godziny nad nimi stałem schylony, że je niby wywracam, aby nie stać beczynn timer.

Widziałem tam niesamowite rzeczy. Widziałem księży, którzy toczyli ciężki walec drogowy, ubijając nim drogę na *Industriehofie I*. Widziałem w pewnej chwili, jak tym księżom kapo kazał się toczyć po ziemi. To był listopad, padał deszcz ze śniegiem. Ludzie ci musieli tarzać się po ziemi, a potem wpędzili jednego pod walec i przez niego kazali walec przeciągnąć.

Widziałem taki obrazek: po przejściu przez bramę na zakręcie do dalszych bloków stało pięciu skatowanych starców izraelitów, a nad nimi tablica z napisem niemieckim: „Oto są sprawcy dzisiejszej wojny. Przez nich przelewa się dzisiaj krew, przez nich cierpicie”. Oczywiście, ludzie ci byli już w agonii, już nie mogli stać, tylko niektórzy leżeli, inni siedzieli.

Kąpiele. Kto z nas nie lubi kąpiele? Ale kąpiel oświęcimska wyglądała w 1940 r. następująco: Listopad. Stoimy na placu apelowym. Blokowy Stefan Wierzbica (obecnie aresztowany) każe nam rozebrać się do naga. Ściągamy z siebie wszystko w pośpiechu, jak najprędzej. Wolno

nam mieć tylko buty na nogach. Wierzbica ponagła i my się śpieszymy, żeby jak najprędzej stanąć czwórkami i znaleźć się w pierwszej 50, na bloku bowiem Wierzbicy – był to blok 10A sąsiadujący z blokiem 11 – było przeszło 300 ludzi. Idziemy nago do kąpeli. Deszcz ze śniegiem tnie nasze ciała. Pierwsza 50 idzie do kąpeli, druga, trzecia i czwarta stoi i czeka na swoją kolej. Kąpiel trwa niedługo. Polega na tym, że na parę minut odkręca się kurki, stajemy pod zimnym jak lód prysznicem i z powrotem trzeba biec bez ręcznika, bez ubrania, żeby się ubrać. Oto kąpiel – bez mydła, bez ręcznika.

Widzieliśmy, gdy SK – *Strafkompanie* – była jeszcze na bloku 11 i ludzi tych używano do pracy obozowej. Widziałem, jak ci ludzie nosili słupy długości cztery – pięć metrów, służące do ogrodzenia Oświęcimia na odcinku do drogi głównej. Słupy te były bardzo ciężkie, bo głowica, która szła do ziemi, miała bok około 20 cm. Słupy te nosiło 20 ludzi, którzy ślaniali się pod tym ciężarem. Krew sączyła się z ich głów, mieli porozbijane ciała, poszarpane ubrania, kapo znęcał się nad nimi, a przez okno patrzyła na to rodzina Hößa, bo mieszkała w sąsiedztwie.

To nie była praca, to była gołgota wprost. Wieczorem, po apelu, tak zwany *Arztvormeldung*. Co to znaczy? Meldowanie chorych na dzień jutrzejszy do szpitala. Występowali słabi, niedołążni, niesieni niejednokrotnie na plecach przez kolegów. Stają przed ówczesnym *Rapportführerem* Palitschem, on ich segreguje. Segregacja zależała od jego dobrego humoru albo od cierpliwości. Jednego, drugiego oddzielił, a resztę uderzał – bo z gołymi rękami nigdy nie chodził. Ludzie, którzy przynieśli chorych, uciekali stamtąd i tak kończył się *Arztvormeldung*. Kilka trupów zostawało na placu apelowym.

Żeby dokuczyć nam w codziennym życiu więziennym, wymyślano takie rzeczy na przykład jak to, że nie wolno nam było spać w kalesonach. Przykryci byliśmy jednym kocykiem i musieliśmy zdejmować te kalesony brudne i kłaść pod siebie, bo taki był rozkaz.

Pracując na tak zwanym *Bahnhofie*, kto potrzebował wyjść załatwić potrzeby fizjologiczne, musiał zgłosić się do grupy. Grupa taka, licząca 8 – 10 osób, szła i tam na komendę, licząc do 10, musieli się wszyscy załatwić, w przeciwnym razie wpadał ten kapo z drugim jeszcze i niejednokrotnie biedak, który pozostał, tonął w dole kloacznym, bo wtedy innych urządzeń nie było.

Muszę parę słów poświęcić apelowi. Apel – rzecz wiadoma – stan liczebny więźniów stojących na placu apelowym musiał zgadzać się ze stanem książkowym. Dobrze, jeżeli

się zgadzał. Ale jeżeli się nie zgadzał, staliśmy tak długo, aż znalazła się przyczyna tej nieścisłości, aż stwierdzono, kogo brakuje, gdzie pracuje.

W listopadzie 1940 roku staliśmy od południa do 9 wieczorem. Nie wolno nam było ruszyć się z miejsca. *Blockführerzy* poszli do sąsiednich bloków i obserwowali, kto się poruszył. Podchodzili, walili kijami. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy na miejscu. Zimno, deszcz ze śniegiem, a my ubrani w drelichy, bez bielizny, bez czapek. Każdy z nas kostniał, ogrzewał się jakoś wewnątrz, żeby wytrzymać. Nie wszystkim to się udało. Jako pokłosie tego apelu zniesiono wówczas do izby chorych 120 przeziębionych, zamrożonych, wycieńczonych. Na to wszystko patrzył Höß, który skarżył się do przybyłego Himmlera, iż martwi się, że wielka śmiertelność jest w obozie, co robić, żeby ją zmniejszyć.

Pisanie listów. Każdy więzień musiał napisać list. Ewidencję prowadził blokowy. Była miesięczna kreska. Rodzina pragnęła wiadomości, ale jak zdobyć ten list. Nie dawali. Musiało się go kupić za porcję chleba. Porcję chleba zapłacić za list? Höß, nie stać cię było dać nam papieru listowego? Pierwszego listu nie pisałem. Powiedziałem sobie: nie będę się okradał. Kupiłem później, gdy listy potaniały. W obozie istniało również prawo podaży i popytu; kiedy wszyscy pisali listy – były najdroższe, jak nie pisali – taniały. Napisałem w dwa tygodnie później.

Praca przy rozbiórce domów. Więzień, bez względu na stan domu, musiał stać, chodzić po dachu; niesiono z powrotem trupy. Otaczali nas wkoło SS-mani, kapowie i każdemu dawali po 25. Za co? To był sport, była to ich rozgrzewka.

Takie było nastawienie w obozie w 1940 roku wytworzone przez ówczesnego komendanta obozu, Hößa.

W obozie przy pracy nawet nie można było przejść spokojnie. Chodził SS-man z wilczurem. Mówiono, że to był pies *Lagerführera* Fritscha. Rzucił się na więźniów, gryzł. Tym bardziej, im bardziej ktoś się bronił. Skoczył raz na mnie. Pracowałem szczęśliwie pod dachem, idę do ustępu. Widzę – pies. Nie czas uciekać. Pies goni i chwyta za udo. Zawyłem, wpił się zębami. Stałem jak wryty. Pogryzł, wreszcie puścił i skoczył na drugą ofiarę. Tak pogryziony przez psa poszedłem do szpitala. Rana nie mogła się zagoić. Pies tak strasznie pogryzł mego kolegę Stanisława Mazurkiewicza, któremu wytworzyła się flegmona, że trzy miesiące musiał być w szpitalu i był bliski śmierci.

Widzę, że resztki życia ze mnie ulatują. Widzę, że dalej temu nie podołam. Z dawniejszego sportowca zrobił się ze mnie cień człowieka, szkielet, spuchnięte nogi, podpuchnięte oczy, słaby. Widzę, że z każdym dniem jest gorzej ze mną. Muszę starać się o zajęcie gdzieś pod dachem, aby znaleźć ochronę od śmierci. Dzięki jednemu ze znajomych udało mi się dostać miejsce w stolarni. To było o wiele lepiej dla mnie. Znalazłem się przy warsztacie, przy heblu. Zdałem egzamin, podobała się moja postawa przy heblu, bo cokolwiek [na tym się] znałem. Zdałem egzamin na majstra. Zaczął się drugi etap mego życia, bez porównania lepszy, bo byłem w cieple, a ciepło znaczy tyle, co kawałek chleba, może nawet więcej.

W lipcu 1942 roku udało mi się uzyskać zajęcie w kancelarii obozowej dzięki temu, że ładnie piszę kaligraficznie. Z powodu wielkiego nasilenia transportów żydowskich trzeba było rozbudować biuro, potrzeba było wielu pisarzy i tak zdałem egzamin. To był trzeci etap mego życia, jeden z najważniejszych, albowiem siedząc w obozie oświęcimskim nie patrzyłem obojętnie na to, co się dzieje, by przeżyć, patrzyłem krytycznie i robiłem sobie notatki. Wszystkie fakty notowałem, albowiem pamięć zawodzi. Stąd też, z chwilą, kiedy znalazłem się w kancelarii obozu, cieszyłem się niesłychanie, że będę wprost u źródła i uzyskam cenne dla nas wiadomości. Ze względu na ograniczony czas streszczę się i opowiem najważniejsze rzeczy z pobytu mego w kancelarii obozu. Nie będę opisywał organizacji obozu, rodzajów więźniów, przejdę tylko do tych fałszerstw i kłamstw, jakie popełniały władze obozowe w stosunku do więźniów.

Prokurator Cyprian: Wysoki Trybunał, muszę poprosić o kilkuminutową przerwę.

Przewodniczący: Zarządzam przerwę.

(Po przerwie)

Przewodniczący: Proszę kontynuować.

Świadek: Pracując w kancelarii obozowej, zauważyłem, że rozstrzelanych więźniów od roku 1940 do 1941 prowadzono w księdze głównej i kartotece jako *überstellet*, to znaczy przeniesiony do innego obozu. Stwierdzam to na podstawie dokumentów tzw. abgangowych, które składałem w specjalnej do tego celu teczce. Wszystkie egzekucje na terenie obozu były dwójakiego rodzaju: egzekucje urzędowe, zatwierdzone przez Berlin i władze wyższe oraz egzekucje urządzane na własną rękę przez władze obozowe. Jaki dowód na to? Otóż

listy zmarłych w egzekucji robiła kancelaria, gdzie pracowali SS-mani i dostawaliśmy je gotowe, a listy zmarłych rozstrzelanych, pomordowanych na własną rękę, robiła kancelaria szpitalna, dodając do tego fałszywe meldunki o śmierci. Te rzeczy są znane na podstawie zeznań poprzednich świadków. Chciałbym stwierdzić, że ludzie ci, zamordowani przez nasze władze, byli w kartotece notowani jako zmarli naturalną śmiercią.

Że w Oświęcimiu coś nie było dobrze z naszymi władzami obozowymi, świadczą [o tym] komisje, *Besuchy*, które od czasu do czasu do Oświęcimia zjeżdżały. Przed jednym takim *Besuchem*, nie pamiętam miesiąca, wpadł do kancelarii naszej *Rapportführer* Hertwig i mówi, abym natychmiast wyszukał wszystkie dokumenty śmierci, *Todenlisty*, od roku 1940 do ostatniej daty. Wszystkie te listy zabrał. Pytałem kolegów, którzy pracowali bliżej, co się z nimi stało. Zostały spalone. Było więc coś nie w porządku w obozie oświęcimskim wobec wyższych władz.

Że władze obozowe wykonywały egzekucje na własną rękę, świadczy fakt następujący. Przyszedł do mnie jeden z SS-manów, żebym mu dał czerwony atrament. Miałem go jedynie ja, prowadziłem bowiem *Hauptbuch*, gdzie robiłem wzmianki, dokąd więzień został przeniesiony. Bierze trzecią *Hauptlistę*, w której byli notowani więźniowie od nr 25 600 w górę i w jednym miejscu coś pisze pod „uwagą” i w drugim. Po pewnym czasie, kiedy tego nie widział, szukam tych notatek i znajduję przy Reinholdzie, blokowym z bloku 22A– *gestorben* – zmarł, i drugi kapo, Walter (nie pamiętam nazwiska) również – zmarł. Wieczorem musiałem uzgodnić stan liczebny więźniów. Przychodzi Distel i mówi, że dwóch więźniów *ab*, odliczyć ze stanu. Pytam się, dlaczego. – Do czego ci to? – Muszę wiedzieć, bo prowadzę *Haftlingsliste*, muszę napisać, dlaczego z obozu odeszli i przesunąć kartotekę do *Abgangu*. To się nie ukryło przed nami. Pytałem się później, chodziło o ilość złota, którą ci więźniowie mieli na własną rękę gdzieś zdobyć, która najwidoczniej została zabrana przez ówczesne władze obozowe i nie na podstawie sądu, tylko osądzeni przez władze obozowe zostali straceni.

28 października 1941 r., w dzień św. Tadeusza, wybrano 260 więźniów z obozu, przede wszystkim Tadeuszów, z transportu lubelskiego i z Zamojszczyzny, zabrano ich na blok 11 i rozstrzelano.

Władze obozowe, krępując się wielką liczbą mordowanych, w tych dniach, kiedy były wielkie egzekucje, przysyłały listy częściowe, rozkładano pomordowanych na poszczególne dni,

żeby nie było za wiele jednego dnia. Tak zrobiono z 96 chłopcami, o których w gazetach czytałem, że podawano liczbę 86. Ustalam ją na 96, bo taką liczbę przyjęliśmy do stanu obozu w Brzezince. Do kancelarii obozowej dostała się ta lista w trzech grupach, podzielona na trzy części. Druga grupa takich straconych, to 84 chłopców, którzy straceni zostali w Brzezince. Kancelaria bowiem głównego obozu obejmowała wszystkie obozy na terenie całego Oświęcimia, który w 1944 r. podzielony został na trzy części: Obóz nr I Oświęcim, obóz nr II Brzezinka – Budy – Babice, obóz nr III Monowice [Monowitz] i wszystkie obozy pracy w kopalniach, fabrykach itd.

Wypadałoby mi opowiedzieć nasze straszne nastroje, kiedy powiedzmy rozstrzelano 12 kolegów, przeważnie inżynierów, wypadałoby mi opowiedzieć o egzekucji, która się odbyła 29 grudnia 1944 r., gdy przeżywaliśmy niezwykle dni, gdy skazańcy pędzeni przez kapo stanęli pod szubienicą. Gdy ówczesny *Lagerführer* Höbller odczytywał im wyrok śmierci Bernard Świerczyna – krzyknął: „Niech żyje Polska, niech żyją nasze rodziny”, a za nim powtórzył to samo Piotr Piąty. Pozostali skazańcy Niemcy zaczęli wołać: *Nieder mit braunen Terror, Nieder mit dem Hitlermörder*, [ktoś] wołał: *Es lebe Stalin, es lebe komunismus*. Na cały obóz rozległ się ten okrzyk. Kaduk okładał ich ręką rewolweru, ale jeszcze, gdy wisieli, z ust ich wrywał się charczący okrzyk. Tak zginęli w walce z hitleryzmem, z bandytyzmem. Tych trzech Niemców nazywało się: Ludwik Wesely, Ernst Burger, Heinz Frymel.

Wypadałoby, chociaż czas mam bardzo ograniczony, wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy. Wyczytałem w dziennikach, że padły tu słowa, że w Oświęcimiu porządny więzień mógł wyżyć najwyżej trzy miesiące. Stwierdzam, że tak jest. Więc któż przeżył obóz? W takim razie z obozu wyszli ludzie, którzy żyli kosztem innych, którzy może wypływali kosztem swoich kolegów? Nie. Z obozu wyszli ci, którym udało się znaleźć dobre miejsce pracy. Miejsce pod dachem. A więc różnego rodzaju specjaliści, rzemieślnicy. Inteligencja z obozu nie wyszła, bo wyjść nie mogła. Myśmy się załamywali psychicznie. Stwierdzam z całą świadomością, że więzień w obozie, gdy się załamał psychicznie, musiał zginąć w jednym tygodniu. Mimo bicia, mimo szykan, trzeba było żyć nadzieją, mieć ogromnie dużo silnej woli. Trzeba było wielkiego zaparcia się siebie, żeby przetrzymać tę gehennę.

Toteż po przebyciu Melku, po przebyciu Ebensee, gdy 8 maja 1945 r. wyswobodzili nas Amerykanie, powiedziałem sobie: dzień ten wpiszę do mojej metryki jako dzień moich drugich urodzin.

Na tym bym skończył. Nie poruszam już innych faktów.

Przewodniczący: Ponieważ świadek był przez długi czas w Oświęcimiu, może zechce powiedzieć, czy znane mu są wypadki jakichś szczególnych okrucieństw w stosunku do więźniów, a w szczególności, czy znał takie wypadki?

Świadek: Tak jest. To, co opowiedziałem Wysokiemu Trybunałowi, to charakteryzuje przeważnie rok 1940. Te okrucieństwa z biegiem czasu zmniejszały się. SS-mani nasycili się naszą krwią. Zielonowinklowiec niemiecki, który był naszym kapo, powiedział mi, że więcej już zabijać nie będzie. Rozmawiałem też z Hansem Timerem. Powiedział mi, że zabił 800 więźniów, ale więcej już zabijać nie będzie, bo sam został okrutnie pobity, gdyż ukradł jakieś złoto czy coś takiego.

Ja sam zostałem raz strasznie pobity. Nie mówiłem o tym, bo to są bardzo osobiste przeżycia. Raz z fałszywego doniesienia dostałem 25 batów. Chciałem się rzucić na druty, ale stanęły mi w pamięci dzieci, zapanowałem nad sobą i powiedziałem sobie, że jeszcze i to przeżyję.

Specjalnym okrucieństwem odznaczał się morderca, SS-man Storh, który wsławił się przy ostatnim transporcie z Melku do Ebensee, a którego w Oświęcimiu zwaliśmy „dusicielem”. Gdy zobaczył on więźnia słabego, chudego, tak że była to tylko skóra i kości, chwycił go za gardło i ścisnął oburącz, a gdy ofiara chwiała się na nogach i padała, czekał chwilę, patrząc, czy jeszcze żyje, a potem skakał mu na piersi butami i zabijał. To widziałem na własne oczy.

Przewodniczący: Czy świadek miał styczność z oskarżonym w czasie swego pobytu w obozie?

Świadek: Oskarżony dwukrotnie był w kancelarii obozowej i tam go widziałem. Czasem całymi tygodniami nie zaglądał do obozu. Działał, ale poza ramami obozu.

Prokurator Cyprian: Chciałbym zapytać świadka, czy wiadomo mu o wypadkach ucieczki z obozu?

Świadek: Tak jest. Ucieczki są mi dobrze wiadome, bo tymi rzeczami interesowałem się i miałem z nimi, że tak powiem, urzędowo do czynienia. Gdy uciekł więzień, momentalnie dostawaliśmy jego numer i musieliśmy podać jego imię i nazwisko, jego pobyt i pracę. Oczywiście, w obozie było wówczas ogromne poruszenie, dlatego na nas zawsze się to skupiało.

Znam niezwykle ciekawe ucieczki różnych kolegów. Drżeliśmy z przerażenia na ryk syreny, która była tak głośna, że nie można było przemówić do siebie, a z drugiej strony była pewna

radość, że może jeden z nas znajdzie się na wolności i opowie, co się tu dzieje. Bo przyznam się, że ja wierzyłem, że wyjdę, ale takich było mało. Wszyscy wiedzieli, że w obozie zginąć muszą, więc radość była wielka.

Pamiętam ucieczkę w 1942 r. w czasie Zielonych Świąt, gdy uciekło czterech więźniów. Trzej przebrali się w strój SS-mański i zabrali komendantowi Hößowi samochód. Była to niedziela po urodzinach Hößa, więc przy takich uroczystościach SS-mani zwykle byli popici i mniej pilnowali. Skuli jednego z kolegów łańcuchami i jak wielkiego przestępcę wywieźli za druty. W ten sposób znaleźli się na wolności. Pamiętałem wszystkie ich nazwiska, ale zapomniałem. Wiem, że jeden nazywał się Bendera. Poza tym było wiele ucieczek, które mógłbym scharakteryzować jako bardzo ciekawe.

Prokurator Cyprian: Czy świadkowi znane są wypadki ludożerstwa w obozie?

Świadek: Owszem. Było to w 1941 r. Na blok 11 Boger przyprowadził dwóch młodych chłopców, Górnoślązaków. Zamknął ich w bunkrze, klucz zabrał i zabronił komukolwiek wstępu do nich. Po dwóch tygodniach – opowiadał mi to kolega, który tam pracował – gdy otworzono bunkier, oczom przedstawił się straszny widok. Jeden jeszcze żył, ale drugiemu wykroił część klatki piersiowej i zjadał ją. Drugi wypadek był w laboratorium w Rajsku. Tam odbywały się różne sekcje i tego rodzaju prace, więc gotowano trupy w kotle. Jeden z więźniów wziął kawałek mięsa i zjadł. Zauważyli to koledzy i bardzo go zwymyślali. Trzeci wypadek był w Ebensee, kiedy był straszliwy głód. Tam publicznie wykrawano z trupów kawały klatki piersiowej, pośladki i to nawet sprzedawano za papierosy.

Adwokat Umbreit: Mam pytanie do świadka. Jak zrozumiałem, świadek zeznał, że z oskarżonym zetknął się tylko kilkakrotnie w czasie jego bytności w kancelarii obozowej. Poza tym należałoby z oświadczenia świadka wnosić, że z oskarżonym nie stykał się.

Świadek: Nie.

Adwokat Umbreit: Jak wytłumaczyć sobie wobec tego słowa na początku wypowiedziane przez świadka, że Höß skarżył się Himmlerowi, że śmiertelność jest zbyt duża? Czy świadek to słyszał sam, czy od osób trzecich?

Świadek: Ja to wyczytałem w dziennikach. Mnie tak zirytowało to oświadczenie, że zareagowałem tu dzisiaj.

Adwokat Umbreit: W którym dzienniku świadek to wyczytał?

Świadek: Zdaje się, że to było w „Dzienniku Polskim”.

Adwokat Umbreit: Więc świadek o tym fakcie dowiedział się z gazet. Ale świadek to zeznawał jako fakt. Czy świadek dowiedział się o tym z prasy?

Świadek: Tak jest.

Adwokat Umbreit: Jeszcze jedno krótkie pytanie. Świadek wyjaśnił, jakie dwa rodzaje egzekucji odbywały się na terenie obozu, w szczególności, że jedne egzekucje odbywały się na podstawie urzędowego zatwierdzenia, a drugie były zarządzane przez władze obozowe. Czy świadkowi nie wiadomo o tym, że przychodziły transporty i z tymi transportami razem przychodziły listy osób wyraźnie oznaczonych z poleceniem wyniszczenia ich w sposób nieznaczny, nieoficjalny?

Świadek: Myśmy otrzymywali w kancelarii tak zwane *Zuganglisty*. Tam było tylko wymienione imię, nazwisko, data urodzenia, zawód, data aresztowania i władza policyjna, która danego więźnia dostarczyła do obozu. Przypominam sobie jeden fakt, który należałoby może wyjaśnić. Do kancelarii obozowej nadchodziły listy, na których widniał z boku znak SB, a pod spodem tylko numer bez nazwiska. Byli to więźniowie, którzy zostali zagazowani. Robiąc raporty, zestawienia miesięczne, musiałem w końcowym ustępie na drugiej stronie napisać liczbę więźniów SB z uwagą (kilka słów po niemiecku), jak by to przetłumaczyć po polsku: Szczególnie straceni, czy szczególnie wzięci pod uwagę więźniowie. W miesięcznych zestawieniach ogólnych stosunek był taki, że ilość SB w lutym 1944 r. – dokładnie to pamiętam, bo to była data przełomowa, kiedy mordowanie oficjalne więźniów spadło, podniosło się natomiast w straszliwy sposób gazowanie więźniów nie numerowanych, świeżych *Zugangów*, którzy przychodzili bez ewidencji – więc tam był taki, że SB dochodziło do 10 tys. miesięcznie, zmarli naturalną śmiercią mniej więcej do tysiąca miesięcznie. Trzecia kategoria więźniów to byli *RSHA Juden*, to znaczy Żydzi transportowi, którzy bezwzględnie byli przeznaczeni na śmierć, do tego stopnia, że jeżeli w tej liczbie SB znalazł się jakiś numer, który został dostarczony nie przez RSHA, tylko przez jakieś inne gestapo czy policję kryminalną, to robiono nowy numer i dopiero na podstawie tego numeru wpisywało się do akt. Tak mocno przestrzegali tego. Czyli więźniowie narodowości żydowskiej dzieleni byli na dwa asortymenty: ci, których dostarczały różne władze policyjne, i ci, których dostarczała ta policja RSHA.



Adwokat Umbreit: Czy świadek miał dostęp do wszystkich akt, do korespondencji nawet tajnej? Czy były specjalne drogi tajnej korespondencji i rozkazy szły tą drogą do komendanta bezpośrednio?

Świadek: We wszystkich komórkach i placówkach, nawet najtajniejszych, pracowali więźniowie.

Adwokat Umbreit: Ale czy świadek miał dostęp do takich akt?

Świadek: Oczywiście nie miałem, miałem dostęp tylko do *Funkenmeldung*. To pisali koledzy na maszynie.

Przewodniczący: Świadek jest wolny.